

Gmina Toszek serwis informacyjny

Adres artykułu: <https://toszek.pl/artykul/wywiad-z-pasja-rafal-kucharczyk>

Wywiad z pasją - Rafał Kucharczyk

Ludzie mają łatwość bycia agresywnym wobec drugiego człowieka, gdy nie widzą w nim osoby tylko przeciwnika. Wyciągając rękę i uświadamiając kogoś, że my też jesteśmy ludźmi rozbrajamy tę bombę - z Rafałem Kucharczykiem, przewodniczącym Rady Miejskiej w Toszku, rozmawia Joanna Bunda.

- Jakim dzieckiem był Rafał Kucharczyk, pamięta Pan swoje dzieciństwo nad rzeczką, kiedy wchodził Pan do wody, topił plastikowe sandały, dokarmiał pająki w pajęczynach, a przy tym pisał wiersze - w tym wyróżniony utwór na Roraty, za który otrzymał Pan w nagrodę kropielniczkę - czy te wszystkie przygody ukształtowały Pana charakter, czy po prostu dawały mnóstwo zabawy?

Od razu widać, że Pani Redaktor wychowywała się po sąsiedzku- bez tego trudno o takie pytanie. Pewnie, że ukształtowały! Potok Toszecki dla dziecka był źródłem frajdy. Całe dni z kolegami łapaliśmy kielbise czy żaby. Budowaliśmy tamy z kamieni czy domki na drzewach nad potokiem. Nie raz wracaliśmy do domu mając jeszcze przyczepioną do nogi pijawkę. Moja mama zawsze powtarzała, że „dzieci dzielą się na czyste i na szczęśliwe”, więc ta swoboda w obcowaniu z naturą była czymś naturalnym, ale przez to do dziś mam w sobie dużo empatii czy szacunku dla natury. Faktycznie miałem też spore zamiłowanie do pajaków. Zawsze uważałem je za fascynujące stworzenia. Mając kilka lat dobrze wiedziałem na którym krzaku jaka sieć należy do jakiego krzyżaka, kątnika czy tygrzyka. Z resztą cała fauna była przedmiotem mojego zainteresowania - równie dobrze znałem wszystkie mrowiska na okolicznych łąkach czy gniazda szerszeni w budynkach sąsiadów. W okresie przed komputerem czy przed konsolami zabawa na łące była normalnym sposobem spędzania czasu.

Co do pisania wierszy to było to formą intelektualnej zagadki. Dla przyjemności tworzyłem własne rymowanki. Moja mama do dziś ma schowany zeszyt zapisany różnymi moimi wierszami. Z czasem zauważyłem, że to zwraca uwagę dorosłych, więc w formie wiersza zacząłem zgłaszać prace na konkursy czy odrabiać zadania domowe, przez co zawsze dostawałem lepszą ocenę. Korzystałem z tego patentu przez większość podstawówki niezależnie od przedmiotu. Dopiero po kilku latach na

informatyce czy technice prowadzonej przez Pana Podbroźnego dostałem za jakiś wiersz tróję, bo skupiłem się na walorach językowych a nie na wyczerpaniu tematu, co przecież na tak technicznym przedmiocie ma większe znaczenie. Ostatni wiersz który pamiętam napisałem jeszcze na pierwszym roku studiów. Pamiętam, że przygotowywałem się do egzaminu z prawa rzymskiego – czytałem notatki koleżanek i podręcznik, co było wyczerpujące intelektualnie więc dla „zwrócenia myśli w innym kierunku” wzięłem kartkę i zacząłem pisać. Postawiłem sobie za cel napisanie wierszem trzynastozgłoskowca z rymem naprzemiennym. Traktowałem to na równi z krzyżówką czy sudoku. Wyszło mi kilka stron A4 z wierszem którego tematem było to, jak bardzo nie potrafię pisać wierszy. Zawsze ceniłem w ludziach elokwencję dlatego te zabawy językiem polskim na pewno też pozwoliły mi lepiej dobierać słowa.

- Pana przyjaciel Grzesiu wspomniał, że był pan bardzo dobry z matematyki, jeździliście razem na olimpiady, a Pan Kotowski uważał pana za jednego ze swoich ulubionych uczniów – jak wspomina pan te szkolne doświadczenia i sukcesy w matematyce?

To prawda. Z Grzesiem Radzikowskim zawsze na zlecenie Pana Kotowskiego jeździliśmy na konkursy z matematyki. Do dziś mamy anegdotę, że dwa ostatnie miejsca z urzędu były dla nas zarezerwowane. Byliśmy dobrzy z matematyki, ale jak na nasze klasowe warunki, natomiast daleko nam do jakiegoś wybitnego poziomu. Późniejsze lata to zweryfikowały, bo choć w podstawówce miałem non stop szóstki na koniec roku, tak już w LO zdarzało mi się być zagrożonym z matematyki. Samego Kotowskiego wspominam jako surowego ale bardzo konkretnego faceta. Mieliśmy dobrą relację – on od nas dużo oczekiwał, a my mieliśmy ambicję, by tym oczekiwaniom sprostać.

- Wspominał też, że był Pan też chwalony przez Panią Posacką Irenę za piękne pismo i rysunki, a w starej szkole spędzaliście razem godziny na grze w siatkówkę i rozmowach o polityce – które z tych szkolnych chwil wspomina Pan najlepiej i z czego był Pan najbardziej dumny?

J. polski z Panią Posacką był dosyć bezbolesny. Co do pięknego pisma to chyba ktoś coś pomylił, bo moje pismo było, jest i raczej będzie tragiczne. Natomiast mój kolega z ławki Sebastian Pisarek miał pismo jakby skończył jakiś kurs kaligrafii, więc może stąd ten mylny wniosek. Moją przewagą na pewno była treść pisanych wypracowań, ale nie ich aspekt wizualny. Siatkówka przez całe gimnazjum była naszym klasowym sportem. Naszym wuefistą był Pan Lucjan Swolany który chyba darzył ten sport dużą sympatią, bo każda z klas pod jego kierownictwem zawsze była faworytem w szkolnym konkursie siatkówki. Rozmów o polityce w tamtym czasie nie pamiętam, natomiast te zdecydowanie weszły nam w krew gdy jako 18-latkowie wyjeździliśmy wspólnie za

granicę. Gdy razem z wspomnianym Grzesiem i Tomaszem Kandziorą siedzieliśmy na budowie w Austrii nie raz zaczynaliśmy rozmowę od hasła w stylu „a co sądzisz o sytuacji w Gruzji”, po czym z młotami pneumatycznymi w tle dyskutowaliśmy jak rasowi geopolitycy.

- Pan Grzesiu wspominał też Pana lata w średniej szkole o profilu prawniczo-dziennikarskim – co najbardziej zapadło Panu w pamięć z tego okresu i czy ma Pan jakieś zabawne lub wyjątkowe wspomnienia ze szkolnych lat, które szczególnie ceni?

Czasy LO wspominam jako jeden z fajniejszych okresów w życiu. Zabawnych historii było bez liku, ale większość nie nadaje się do przytoczenia lub wymagałoby nakreślenia ogromu kontekstów. Z rzeczy ciekawych może wspomnę tylko jedne wybory do samorządu szkolnego. Z uwagi na nasz profil tj. „dziennikarsko-prawniczy” mieliśmy w klasie wiele osób o zacięciu które dobrze korespondowało z samorządem szkolnym. Gdy wychowawczynie powiedziały, że można zgłaszać swoje kandydatury do samorządu szkolnego większość z nas potraktowała to jako okazję by przypodobać się nauczycielom, a jednocześnie nikt z nas nie traktował tego startowania poważnie. Z mojej klasy zgłosiło się chyba 6 osób. Nie prowadziliśmy żadnej kampanii, nie było plakatów. W szkole jedna dziewczyna z równoległej klasy podeszła do tematu na poważnie – miała program, organizowała happeningi zachęcające do głosowania, była cała kampania. Oczywiście ta dziewczyna zgarnęła jakieś 99% głosów, natomiast okazało się że zgodnie z regulaminem to nie są wybory bezpośrednie tylko pośrednie: na skutek wyborów wybiera się grono 5 osób z najwyższą liczbą głosów a one spośród siebie wybierają zarząd szkoły. Mimo, że ona zgarnęła prawie wszystkie głosy to była tylko jedną z tej piątki. Całej „reszcie” wystarczyło kilka głosów od kumpli z klasy by również znaleźć się w tej piątce. Tym sposobem wybrano grupę 5 uczniów z najwyższą liczbą głosów, a w tym 3 osoby były z mojej klasy, w tym ja.

Mając większość rozdaliśmy między sobą funkcje które nas interesowały – zostałem wiceprzewodniczącym szkoły. Dziewczyna z ogromem głosów czuła się oszukana, przez co wybuchł oczywisty skandal. Co ciekawe opiekunem samorządu w moim LO był nauczyciel przystosowania obronnego Pan Waldemar Pigulak, dzisiejszy dyrektor SP1 w Toszku. Po interwencji dyrekcji i ogólnej aferze w drodze kompromisu ustalono, że rozszerzymy grono 5 osób z największą liczbą głosów do 7, tym samym zmieniając arytmetykę tej grupy. „Pech” chciał, że w tych dodatkowych dwóch osobach również znalazła się kolejna osoba z naszej klasy. To była bardzo ważna lekcja demokracji dla nas wszystkich. Dura lex, sed lex.

- Pan Grzesiu wspominał o waszym wspólnym wyjeździe w czasie wakacji do Austrii do pracy na budowie, gdzie w nagrodę za świetną znajomość języka niemieckiego otrzymał Pan najcięższą pracę i największy młot – czy może Pan opowiedzieć więcej o

tych wydarzeniach?

Znów wspomina wyjazd, o którym wspomniałem wcześniej. Wyjeżdżałem za granicę do pracy odkąd miałem 17 lat. Najpierw cebulki w Holandii, później na zmianę BMW i różne przypadkowe wyjazdy (budowa w Austrii, usuwanie odpadów chemicznych w DE czy sprzątanie szkół i biur w Monachium). Od zawsze posługuję się komunikatywnie angielskim i niemieckim, co na pewno ułatwiało pewne rzeczy. Natomiast paradoksalnie czasem miałem przez to gorzej jak np. podczas wspomnianego wyjazdu do Austrii. Objąłem funkcję tłumacza dla naszej grupy, przez co byłem wypychany gdy trzeba było pogadać z kierownikami. Koledzy którzy ze mną przyjechali z uwagi na barierę językową trafili do brygady z samymi Polakami, gdzie tempo pracy i jej ogólna organizacja pozwalała na luz. Tymczasem ja zostałem rzucony do pracy z Austriakami którym bardzo zależało na szybkim skończeniu inwestycji. Przez to, że potrafiłem się z nimi dogadać, zostałem od razu potraktowany jak ktoś od kogo można wymagać takiego samego zaangażowania. Tężyzna fizyczna nigdy nie była moją mocną stroną w przeciwieństwie do Grzegorza Radzikowskiego czy Tomasza Kandziory, którzy byli z siłownią za pan brat, a mimo to mi przypadł wątpliwy zaszczyt wyrywania łodem okiennic czy kucia młotem pneumatycznym sufitu. Orka była nieziemską, ale liczne anegdoty z tego wyjazdu do dziś umilają nam imprezy.

- Kiedy po raz pierwszy poczuł Pan potrzebę pomagania innym – czy to w dzieciństwie, czy później, np. wiosną 2021 roku, gdy namawiał Pan sąsiadów do przyjęcia uchodźców z Ukrainy – i co sprawiło, że tak odważnie angażował się Pan w pomoc?

Nie wiem czy potrafię odpowiedzieć na to pytanie. Pewną solidarność z innymi wynosi się z domu. Nie kojarzę sytuacji by mój tata odmówił komukolwiek pomocy. Moja mama jakiś czas pomagała nawet zawodowo, bo pracowała w toszeckim oddziale Caritasu. Mama często wychodziła w tych tematach przed szereg – miała świetną relację z wszystkimi swoimi podopiecznymi, nie raz też z ich rodzinami, przez co np. potrafiła mnie angażować by popołudniu przewieźć jakiś TV czy inne meble po którejsz ze zmarłych podopiecznej do innej podopiecznej, której te rzeczy mogą jeszcze posłużyć (oczywiście w porozumieniu z rodziną). Później gdy studiowałem prawo coraz częściej zaczęli się zgłaszać sąsiedzi czy znajomi z różnymi pytaniami. To naturalne. Zawsze starałem się udzielić informacji, a jeśli takich jeszcze nie posiadałem to chociaż nakierować gdzie należy się zgłosić po profesjonalną pomoc.

Co do Ukraińców to w momencie wybuchu wojny mieliśmy z żoną wyremontowany dom, w tym dwa nieużywane pokoje. Mieliśmy w domu małe dziecko, a tym samym zabawki, pieluchy, przewijaki, ubranka, chemię i wszystko co jest potrzebne do obsługi małych dzieci. W tamtym czasie napływ uchodźców był ogromny przez co spali również w obiektach zbiorowych takich jak sale gimnastyczne czy świetlice. Wyszliśmy z

założenia, że mając takie możliwości jakie mamy możemy przyjąć pod dach matkę czy dwie z małymi dziećmi. Gdyby matka z małym dzieckiem trafiła do takiego punktu zbiorowego noclegu to przecież byłoby tragiczne dla wszystkich. Życie niestety zweryfikowało, że jednak było to dużo trudniejsze niż pierwotnie założyliśmy. Co do namawiania innych: wydawało mi się, że po prostu tak trzeba. Miałem niejako mandat, by o to poprosić sąsiadów – sami przyjmowaliśmy uchodźców w domu przez co nie byłem hipokrytą namawiając do tego innych. Nie chciałem też, by zostało to zinterpretowane jako jakaś polityczna zagrywka dla zdobycia punktów, dlatego nie chciałem chodzić sam. Większość naszych mieszkańców to osoby wierzące, a przecież wyciągnięcie ręki do potrzebujących w takiej sytuacji jest niewątpliwie zbieżne z nauką Kościoła, dlatego poprosiłem ks. Ireneusza Gierczyckiego by mi towarzyszył w tym obchodzie. Staraliśmy się zachęcić ludzi do podzielenia się tym, czego przecież większości z nas nie brakuje – pokojem, jedzeniem. Jednocześnie nie chcieliśmy by ktokolwiek odniósł wrażenie że to na nim wymuszamy. Myślę, że nie wyszło źle, choć nie kojarzę by to przyniosło wymierne efekty.

- Jakim uczuciem było dla Pana objęcie funkcji Przewodniczącego Rady Miejskiej 7 maja 2024 roku – ekscytacja, stres, czy mieszanka wszystkiego? A patrząc na swoją pracę radnego, co udało się Panu poprawić w gminie i co chciałby Pan jeszcze zmienić lub udoskonalić?

Objęcie tej funkcji na pewno było jakimś spełnieniem ambicji. Przez poprzednią kadencję gdy byłem wiceprzewodniczącym miałem okazję przyglądać się pracy ówczesnego przewodniczącego Tadeusza Kobiernika. Nie znałem szczegółów, ale miałem ogólne wyobrażenie jak to wygląda. Tadek pełnił tę funkcję z dużą klasą i cierpliwością, ja na pewno mam luźniejszy styl, przez co niektórym może wydawać się bezczelny. Koniec końców wzbudzam wystarczające zaufanie koleżanek i kolegów radnych, by dalej trzymać ster rady, co na pewno cieszy. Każdy z nas tak po ludzku przecież lubi jak inni mu ufają czy cenią jego zdanie. Natomiast na pewno nie jestem przyspawany do stołka. Może to źle zabrzmie, ale pamiętajmy że Toszek to naprawdę mała miejscowość – to że ktoś zajmuje tutaj eksponowane stanowisko nie jest powodem by obrastać w piórka, tylko jest źródłem odpowiedzialności wobec ludzi których codziennie mija się na ulicy. To nie jest Kraków czy Poznań gdzie kontakt radnego z mieszkańcami jest symboliczny, bo głosuje się na jakąś partyjną listę. My się z naszymi wyborcami spotykamy codziennie w pracy, w kościele czy w sklepie. Znamy osoby które np. piszą te hejterskie komentarze w necie. Ta bezpośredniość sprawia, że trzeba być ciągle gotowym do obrony swojej decyzji. Będąc na spacerze czy wychodząc z kolegami na piwo mogę zostać zaczepiony i ktoś będzie ode mnie oczekiwał odpowiedzi na swoje pytania. Przez to nikt z nas nie podejmuje decyzji wbrew własnemu przekonaniu, bo przy pierwszej weryfikacji straciłby całą wiarygodność.

Co do sukcesów i wyzwań to można by sporo pisać, natomiast skupiając się np. na najbliższej perspektywie w moim okręgu to zostanie w końcu zrobiony chodnik między Potokiem Toszeckim a tzw. Herbergą. Zostanie rozbudowana świetlica na Oraczu o węzeł sanitarny i pomieszczenie docelowo będące kuchnią, co sprawi że funkcjonalność tego obiektu wejdzie na nowy poziom. Tak ogólnie w skali Gminy cieszę się na planowany w pierwszym kwartale wykup budynków starego browaru przy ul. Strzeleckiej. Plany wobec tego obiektu nie są jeszcze precyzowane, ale sam fakt że przestanie popadać w ruinę i straszyć na wjeździe do Toszka jest niewątpliwie plusem.

Wykonuje Pan pracę komornika, która wymaga podejmowania trudnych decyzji – czy ma Pan swoje „triki” lub sposoby, które pomagają radzić sobie w takich sytuacjach?

Jedyny trik jaki posiadam, to odkładanie reakcji na później. Czasem sytuacja wymaga natychmiastowej reakcji, ale jednak w większości przypadków mamy do kilku dni. Wtedy najlepiej na wejściu możliwie uzupełnić wiedzę – zapoznać się ze stanem faktycznym, przypomnieć sobie dotyczące tego przepisy, posłuchać opinii innych. Jeśli temat jest ważny, to lubię odpowiadać po kilku dniach. Niektóre fakty z innej perspektywy zaczynają być trywialne. Wtedy też łatwiej dostrzec priorytety. Czasem w pierwszej sekundzie skupiam się na tym jak wygrać dany spór, a po przespaniu się z problemem dochodzę do wniosku, że nie tylko szkoda mojego czasu na wygranie tego sporu ale wręcz najlepiej będzie odpuścić. Właściwa perspektywa przychodzi z czasem.

- Jako że jest Pan osobą bardzo optymistyczną i obdarzoną poczuciem humoru, czy te cechy pomagają Panu w codziennej pracy i podejmowaniu trudnych decyzji?

Dziękuję! Na pewno pewna dawka luzu jest przydatna. Pracuję z ludźmi w czasie, który zazwyczaj jest dla nich trudny. Petentom w kancelarii towarzyszy strach, smutek, nie raz wstyd. Nawet te okazjonalne wybuchy agresji wywodzą się przecież z tego, że ktoś czuje się pod ścianą. Jak dłużnik wchodzi nabuzowany i z miejsca zaczyna krzyczeć, to nie raz wystarczy stanowczo powiedzieć, że „jak chce się drzeć to niech zainwestuje w bilet na mecz, pojedzie na jakiś stadion i tam może sobie zdrapać gardło – tutaj niech się określi czy przyszedł coś załatwić czy przyszedł sobie ulżyć, bo jeśli to pierwsze to poproszę spokojnie wyjaśnić o co chodzi, a jeśli to drugie to tam są drzwi”. Ludzie mają łatwość bycia agresywnym wobec drugiego człowieka, gdy nie widzą w nim osoby tylko przeciwnika. Wyciągając rękę i uświadamiając kogoś, że my też jesteśmy ludźmi rozbrajamy tę bombę. Zawsze widząc się z dłużnikiem warto na wstępie wtrącić co luźnego, zabawnego, wtedy dłużnik czuje że nie rozmawia z robotem i ta rozmowa przebiega całkiem inaczej.

- Co pomaga Panu zachować równowagę między życiem prywatnym a obowiązkami

publicznymi – kawa, spacer, dobra książka, a może coś zupełnie innego?

A udaje mi się ją zachować? Są okresy gdy działalność publiczna pochłania niemal cały mój tydzień. Są takie, gdy robi to praca zawodowa. Są też takie gdy robi to życie prywatne. Jak u każdego z nas. Ważne, że do niczego z tych rzeczy się nie zmuszam. Do większości obowiązków podchodzę ze zrozumieniem i uśmiechem. Na pewno pamiętam o czasie wolnym. Chyba Lennon powiedział, że „czas spędzony na czymś co sprawia Ci przyjemność nie jest czasem zmarnowanym”. Nie uważam, by harówka w firmie od rana do nocy była czymś szlachetnym. Oczywiście są sytuacje które to wymuszają, ale ten okres mam na szczęście za sobą. Nie czuję też potrzeby by komukolwiek coś udowadniać, przez co jak mam ochotę wrócić do domu i cały wieczór grać w Majesty 2 czy Heroes of Might and Magic III to dokładnie to będę robił – i nie będę żałował.

Patrząc dziś na sprawę związaną z browarem, czy zrobiłby Pan coś inaczej, gdyby mógł cofnąć czas?

Chodzi o browar przy Szpitalu? Nie, myślę że skończyło się całkiem nieźle, choć na pewno wszystkich wokół kosztowało to sporo nerwów. Takie smaczki jak moja relacja z inwestorem na pewno dodają pikanterii, przez co temat jest nośny, ale podchodząc do problemu na chłodno to sprawa jest poważna niezależnie od tego czy inwestor to mój teść, kolega czy brat. Wychowywałem się w latach 90., a dorastałem w dwutysięcznych, gdzie wszelkiego rodzaju nepotyzm był powszechny. To zjawisko zostało w Polsce mocno ograniczone. Moje pokolenie krytycznie podchodzi do tego, by członków rodziny traktować lepiej niż innych, tym bardziej w kontekście publicznych decyzji. Tutaj potrzebny jest obiektywizm. Od początku starałem się trzymać zdrowy dystans, patrzeć na tę kwestię z boku. Myślę, że mi się udało niezależnie od opinii osób postronnych. Przekonanie publiki, że żadnego problemu nie ma i chodzi o jakąś prywatę jest niewątpliwym sukcesem inwestora osiągniętym moim kosztem, choć oczywiście w prokuraturze się to nie obroniło. Ot, taktyka do osiągnięcia celu, jak każda inna. Problematyka przeciwdziałania alkoholizmowi jest w naszej kulturze dosyć kontrowersyjna – wystarczy prześledzić ostatnie dyskusje które przewaliły się przez duże miasta, a które dotyczyły nocnej prohibicji. Łatwo pobudzić nastroje krytyczne wobec jakichkolwiek ograniczeń. W Toszku radni problem dostrzegli i chcieli zareagować. Dalej uważam, że w tym miejscu powinna odbywać się produkcja, jednak sprzedaż detaliczna powinna zostać przeniesiona w jakieś mniej kontrowersyjne miejsce - ale trudno. Ostatecznie inwestor zadeklarował zasłonięcie ogródków piwnych przed wzrokiem pacjentów. To kompromis który pozwala zamknąć ten temat, bo stanowi dowód że pamiętaliśmy nie tylko o konieczności inwestowania ale też o tych w tej dyskusji najłabszych, którzy są na życiowym zakręcie. Czasem do mnie dochodzą głosy, że jednak rada powinna być w tym temacie bardziej stanowcza czy że za mało

uwagi poświęciliśmy sąsiedztwu żłobka którego rodzice/klienci też mają swoje obawy. Ze strony rady to wygląda tak, że był czas i miejsce na zabranie głosu. Teraz po osiągnięciu wspomnianego kompromisu w radzie nie ma woli by do tematu wracać – pacta sunt servanda. Pozostaje trzymać kciuki za to, by nasze obawy jednak okazały się na wyrast.

- Gdyby miał Pan opisać swoje życie publiczne w formie krótkiego wiersza lub zabawnej anegdoty, jak by ono brzmiało?

Nie mam na poczekaniu wiersza ani anegdoty, ale powiem tak: wszyscy powoli zamieniamy się w proch, więc pamiętajcie by żyć po swojemu zanim zawieje wiatr.

Metryczka

Data wytworzenia:	19.12.2025
Opublikował w BIP:	Marcin Lesiak
Data opublikowania:	19.12.2025 13:07
Liczba wyświetleń:	651